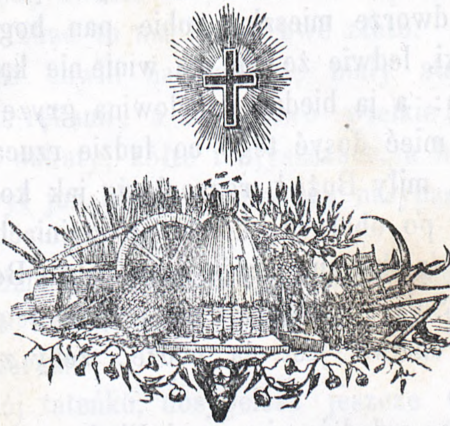
Tom IV. Nr. 7.

1. Marca. 1861.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ukarana chciwość.

Było to w lecie, a późnym już wieczorem. Wedle cerkwi siedział sobie dziad biedaczek i szeptał pacierze na koronce. Torba na chleb, dobrze już stara i wytarta wisiała u boku, przerzucona przez ramię, a na ziemi leżał kostur dziadowski i dziurawy kapelusz słomiany.

Przeszeptał dziadek swoje pacierze, a potem spojrzał po czystem niebie, po gwiazdach i jasnym miesiączku, a różne myśli chodziły mu w głowie:

— Hej, hej — dumał sobie dziadowina — żeby to z tych gwiazd wszystkich zrobiły się bite talarki, a wpadły mi tu do torby, to bym ja nie siedział pod kościołem, anibym nie chodził w łachmanach. Miły mój Boże, mieszkałbym sobie w pałacu, a ludziom bym dobrze czynił, a już ani grosza bym nie wziął od nikogo, jeno bym sam rozdawał wszystkim.

Spojrzał tu dziadek po chałupach, i spojrzał na dwór pański a dumał sobie dalej:

— Przecież to niesprawiedliwie dzieje się na tym świecie. A toć tam we dworze mieszka sobie pan bogaty, różne ma wygody i dostatki, ledwie że się we winie nie kąpie a na srebrnych misach jada: a ja biedny dziadowina gryzę chleb suchy z torby, i muszę mieć dosyć tego co ludzie rzucą z litości. A tu znowu Sołtys, miły Boże! rozparł się jak kokosz na grzędzie, i ma wołki po oborach, koniki po stajniach, miód w pasiece a zboże w śpichlerzu, i żyje sobie jak u Boga za piecem. A przecież pan Sołtys nie najadł się jeszcze temi bogactwami, a pienia ludzi i chciwy jest na cudze, żeby zgoła i z garła wydarł sąsiadowi.

— O świecie, o ludzie niesprawiedliwi, a kiedyż się opamiętacie! — wołał dziadowina. — A toć miły Boże, żebyś mnie dał jeno tyle coś dał Sołtysowi, tobym już siedział spokojnie, i chwalił Cię w pokorze, a ludziom czyniłbym wygodę z miłości chrześcijańskiej.

Tak sobie duma biedny dziadek, aż tu zda mu się w bok spojrzyć i aż struchlał od strachu, a ręką zrobił krzyż święty. Z za cerkwi wyszedł jakiś starowina, bielutki jak gołąbek, i w bielutkiej jak śnieg przyodziewie, a idzie prosto ku biednemu dziadowinie. Chciał zrazu porwać się dziad i uciekać, aleć onemu staruszkowi patrzało z oczów tak jakoś słodko i wielmożnie, że dziad został na miejscu.

Zbliży się wreszcie ów starowina i rzecze:

— Słyszałem dziadku, jak tu dumasz nad twoją niedolą, a wiem żeś człek poczciwy i chciałbym ci pomódz.

— O mój złoty, o mój srebrny tateńku — zawoła dziadowina — a pomóżcież, pomóżcie!

— Więc zdejmże twój worek — rzecze biały staruszek — a nasypię ci dukatów do niego.

Dziadowi zaświeciły się oczy z radości; zdarł worek ze siebie i rozwiązał go, a nadstawił drżącemi rękami.

— Jeno pamiętaj sobie — ozwał się znowu staruszek — że tylko to twoje co wpadnie do worka; a to co wyleci na ziemię zmieni się zaraz w marny proch, z którego wszystko powstało.

Dziadowi zaczęły się ręce trząść jeszcze mocniej.

— Oj, będę uważał mój tateńku — prawi, a spojrzy świecącemi oczami zkąd tu ma lecieć owe złoto.

A w tejże chwili nachylił się biały starowina, i zaczął trząść swojemi rękami, a oto dziwo wielkie, z próżnych rąk zaczęły lecieć dukaty, żółte i błyszczące, a het bez końca.

Worek był już blisko do połowy nasypany, więc staruszek rzecze:

— Mój dziadku, może dosyć? Macie już więcej bogactwa niż Sołtys; a worek stary i przetarty to gotów pęknąć pod większym ciężarem.

— Oj mój tateńku, dosypciesz jeszcze trochę, boć tego nie wiele — prosi dziadek a spojrzy litościwie na staruszka.

Więc starowina trzęsie znowu rękami, a tu dukaty sypią się, i sypią, i worek już blisko pełny. Więc przestał sypać staruszek a znowu rzecze:

— Spojrzyjcie no dziadku, bo mi się widzi worek nie wytrzyma. Macie już więcej bogactwa jak sam pan we dworze.

— Oj mój staruszku — woła dziad — ta dorzućcie tę odrobinkę do pełna!

— Ej dziadku, dziadku, przypatrzcie się że złoto już świeci przez worek, a mało co go nie oberwie; będziecie mieć dosyć. Bo jak się też przedrze to nic ze wszystkiego.

— Mój tateńku — woła dziad — jeszcze aby kilka, aby troszkę pełniej!

Więc biały staruszek machnął jeszcze ręką, i zleciała jeszcze kupka dukatów, ale też naraz chrast! przerwał się worek i złoto sypie się na ziemię. Przeląkł się dziadowina; jedną ręką worek podtrzymuje, a drugą chce zbierać ze ziemi dukaty, aleć owe rozwiały się w proch szczery. Więc chce sięgnąć do worka, a tu właśnie reszta wysunęła się z onego, i już nic nie ma ani na ziemi, ani we worku. Chwycił się dziad za głowę i spojrzał przed siebie, aleć staruszka już nie było, jeno głos ozwał się jakby z góry:

— Tak to wszystkim bywa co są łakomi i chciwi! Chciwość prowadzi do grzechu i do zbrodni, a pan Bóg ją srogo karze i tu i na tamtym świecie. Najmądrzejszy i najcno-

tliwszy ten, co przestaje na swojem, a nie żąda skarbów i nie zazdrości drugiemu, jeno potrafi być szczęśliwym i przy suchem chlebie, bo takiego jest królestwo niebieskie. Strzeżcie się chciwości i łakomstwa, bo one zatracą duszę i poprowadzą ją na potępienie wieczne!

Ukląkł dziad i słuchał tych słów pokornie, a potem usiadł przed kościołem i odmawiał pacierze, i był już dziadem do końca żywota.

Spiewka o pracowitym Franku.

Franek chłop nad chłopy, gospodarz nie lada,
Za pół nie obstoi, a za pięciu jada;
Wyjdzie z plugiem w pole, pożal-że się Boże,
Inni siać skończyli, a nasz Franek orze.

Hej święta Zofija
Kłosy już rozwija,
A nasz Franek śpiewa
I rolę obsiewa;
Hej o świętym Wicie
Już pół ziarnka w życie,
A na Franka roli
Puszcza się powoli.

Przyszedł czas do żniwa, sąsiad zbiera z pola,
A u Franka żytkiem zieleni się rola;
Franek butny chodzi, pychą ludzi bodzie,
Bo żytko mu rośnie jak włosy na brodzie.

Hej od świętej Hanki
Chłodne już poranki,
A Frankowe żytko
Skurczyło się wszytko;
Przyszedł święty Idzi,
W polu nic nie widzi,
Jeno coś nie zdrowe
Żytko Franciszkowe.

Franku nieboraczku, co ci się to stało,
Teraz nic już nie masz, dawniej-ś miał choć mało;
Żona lamentuje, rzuca się jak żmija,
Franek dzieci tłucze, a babę omija.

Przyszedł święty Jędrzej,
Nauczył go mędrzej:
Franek w dworze młóci,
Aż się cały poci.
A w święto Barbarki
Zdjął sanice z górki,
I ze dworu drogą
Jedzie z zapomogą.

Grześ z Mogiły.

POGADANKA STAREGO ROLNIKA.

Nie wiem, czy sobie przypominacie wieś Marusice i w niej poczciwego i mądrego Jana Goździaka, co to do niego schodzili się różni ze wsi ludzie, jak Józef Bąbała, Wojciech Gajda, Franek Guz i inni gospodarze? Otóż w jedno święto po obiedzie, i jak już słonko przestało dopiekać, Janek wyszedłszy w pole, żeby obejrzeć żyto, co było już na dojrzewaniu i jeszcze zieleniejącą pszenicę, spotkał się ze znajomymi gospodarzami, co równie po tym samym wyszli interesie. Każdy ochotnie przyglądał się swej pracy; ale chociaż urodzaju Pan Bóg nie poskąpił, toć przecie najpiękniej wyglądał połanek Jankowej oziminy, tak, że przy przejeździe drogą każdemu najpierwiej wpadał w oczy. Gajda tylko wzdychał i skrobał się w głowę, a Bąbała oblizywał usta, jakby co smakował i podnosił w górę ramiona, co zobaczywszy, Janek rzekł:

— Bóg, moi sąsiedzi! jakoś pięknie w polu znaczy, ale największa piękność to jest czyste, spokojne sumienie, kiedy człowiek żadnej krzywdy, żadnej łzy ludzkiej, ani przekleństwa na sobie nie dźwiga. Ale ludzie choć się temu nie sprzeciwiają, równie jednak nie tak starają się o czyste sumienie, jak wypada i przynależy. Każdy goni jeno za zyskiem, za zarob-

kiem, a nie baczy, że Bóg miłosierny, nasz Stworzyciel wielki i niepojęty patrzy na nasze sprawy, i prędzej czy później wytknie wszystkie błędy.

— Oj! prawda mój sąsiedzie, prawda — potwierdzili obadwa, a Gajda dodał: — ale patrzcieno mój kumie, jak to pszeniczka równo kwitnie, że aż się serce śmieje z uciechy, iż praca nasza na marność nie poszła.

— A jak to u każdego ziarnka — odezwał się Bąbała — wisi kwiatuszek, niby cieniutkie nitki jedwabiu. Mój Boże, że to tak Bóg na świecie nic w jednej mierze nie utrzymuje, jeno wszystko przeinacza, że ta w niczem jedno do drugiego niepodobne. Ot na ten przykład człowiek jak posieje, to najprzód ziarnko kiełkuje, potem zamurawia się niby trawa na łące, potem idzie w kolanko, potem kłosuje, nareszcie kwitnie, dojrzewa, i żeby człowiek nie zebrał tego z pola do stodoły, toby ziarno opadło i wszystko poszło na marność.

— Oj! dziwniście — odezwał się Gajda — dziwicie się tak temu, jakbyście nie wiedzieli, że wszystko rośnie na świecie. Przecieć i człowiek przychodzi na świat maluśkiem dzieckiem, a potem jak się zapędzi w lata, to wychodzi na dziada, jak nieprzymierzając my jesteśmy.

— To się wie — odrzekł na to Bąbała — ale człowiek pożywia się nieladajako i tem i owem, ale takie zboże, co nie ma ani gęby, ani zębów do zgryzienia...

— Oj! wybyście radzi — przerwał Gajda — żeby zboże co rośnie, tak jadło ziemniaki, barszcz, albo sztukę mięsa, jak wy jecie. Ono inny bierze pożywioł...

— Ba! jużcić ja wiem mój Wojciechu, że bierze pożywioł ale jak go bierze i z czego?

— Jużcić z ziemi — odrzekł Gajda — ale jak go bierze, to jeno jeden Bóg wie Wszechmogacy.

— Dobrzeście powiedzieli — odezwał się na to Janek Goździak — że jeden Bóg wie to najlepiej; ale widzicie moi sąsiedzi, Bóg dał ludziom rozum, i dlatego jak ludzie zaczęli dochodzić wszystkiego i patrzeć na wszystko i podglądać, to doszli wiele rzeczy: jak ze lnu zielonego zrobić koszulę, z rudy żelaznej wytopić żelazo, a potem zrobić z tego lemiesz, nóż,

kosę, albo kozik i jeszcze innych wiele rzeczy. Otóż w gospodarstwie jak ludzie zaczęli dochodzić, tak co jeno mogli, tak już podochodzili i to pospisywali w różne książki. Że zaś moi sąsiedzi wiecie, iż umiem dobrze czytać i pisać, i że uczyłem się jak gospodarować, to wam opowiem o roślinach, jak się żywią, jak pokarm idzie dla nich z ziemi i z powietrza.

— Z powietrza? — przerwał Gajda razem z Bąbałą z wielkiem zadziwieniem — co wy też mój Janie mówicie?

— Tak jest moi ludzie! z powietrza — odrzekł Jan — ale że o tem dłuższa troszkę rozgadka, żeby więc wam wszystko dobrze przełożyć, pójdziemy do domu i tam o tych rzeczach z sobą pomówimy, a przekonacie się, że to i ciekawe i nauczające i pożyteczne, bo wyłoży, jak co robić w gospodarstwie, i dla czego tak robić a nie inaczej.

Niedługo spora gromadka ludzi zebrała się w znanej nam chałupie Jana Goździaka, bo i inni gospodarze zobaczywszy go idącego z pola, poszli odwiedzić swego sąsiada, gdyż lubili pogawędzić z nim o tem i owem, bo zawsze im do głowy choć troszkę rozumu przybyło. Pogawędziwszy więc nieco o różnych frasunkach gospodarskich, wszyszcy uciszyli się i zwrócili oczy na starego Janka, a on się namyślał od czego ma zacząć, i po chwili milczenia tak też się odezwał:

— Wiecie moi ludzie, że zanim człek nauczy się dobrze chodzić za pługiem lub radłem, to wprzódy uczy się poganiać, potem przypatruje się, probuje, wprawia, aż wreszcie weźmie za czapigę i hala! w pole. Tak samo dzieje się i z uczeniem gospodarstwa: kto chce umieć chodzić wedle orki, mierzwienia, zasiewu i zbiórki żyta czy innej rośliny, to musi najprzód wiedzieć jak się to żywi i jak to rośnie, żeby temu umieć dogodzić. Otóż więc będę wam mówił o roślinach, co całą ziemię przykrywają, jakby najpiękniejszym przyodziewkiem, a przytem dają człowiekowi wszystko, co do jego życia i wygody potrzebne.

Przy tych słowach Janek umilkł i wszyscy się bliżej niego przysunęli. Bąbała przechylił głowę i otworzył tak szeroko u-

sta, żeby mógł wlecieć w nie cały gołąb. Po chwili Janek zaczął mówić:

— Moi sąsiedzi, kiedy weźmiecie garść siana albo zboża i spalicie, to wiecie dobrze, że z tego zostaje bardzo mała garstka popiołu.

— A jużcić prawda, prawda — potwierdzili wszyscy dokoła, a Janek mówił dalej:

— Żeby popiol ten przyszło zważyć, tobyście się łatwo przekonali, że ze snopka zboża, co na ten przykład ważył dwadzieścia funtów, to popiołu podobno i funta nie będzie. Gdzież się więc reszta podziała? Bóg bowiem raz tylko stworzył świat i wszystko co na nim widzimy, więc nic nigdzie zginąć nie może.

— Gdzie się podziała reszta? — odezwał się Franek Guz — jużcić ogień ją strawił.

— To się wie mój Franku — odrzekł Janek — ale równie musiało się gdzieś podziać. Bo na ten przykład, człowiek jak siedzi nad miską barszczu i zajada, to choć potem na misce nic nie zostanie, równie wiemy, że barszcz z niej nie zginął, jeno że go człowiek potroszku, po łyżce wlał do brzucha i tam teraz siedzi. Tak samo dzieje się z ogniem: choć on snopek zboża strawił jak powiadacie, równie jednak nie połknął go, jeno jedną część z niego zostawił w popiele, a reszta poszła w powietrze, albo jak my mówimy, że poszła z dymem. Otóż z tego ludzie się przekonali, że w każdej rzeczy przez Boga stworzonej, czy to w człowieku czy w zwierzęciu, czy w roślinie, zbożu albo trawie, znajdują się dwie rzeczy: jedna ta, co zostaje popiołem, a druga, co uchodzi z dymem w powietrze. Popiołu, jak już o tem mówiliśmy, daleko znajduje się mniej, bo na stu funtach jakiej spalenizny, czasem będzie dwa, albo nieco więcej popiołu; zaś wszystko idzie z dymem w powietrze, i tej części jak widzimy znacznie jest więcej.

— Dobrze to wszystko mój sąsiedzie — odezwał się na to Gajda — ale zawdy co idzie z dymem w powietrze, to jużcić ginie, bo człek tego potem ani dojrzeć, ani uchwycić w garść nie może.

— Nie ginie mój sąsiedzie, odrzekł na to Goździak — bo

na świecie co jeno Bóg stworzył, nic nie ginie, tylko się przeinacza to w to, to w owo, i raz człowiek widzi to oczami, dotyka się, drugi raz całkiem nie widzi, jeno czuje nosem, albo wreszcie ani widzi ani czuje. Ot na ten przykład, kiedy bryłkę soli w barszcz wrzucicie, albo w inne jakie gotowanie, toć że ona się potem rozpuści, nie powiecie, że zginęła, jeno że się rozpłynęła w wodzie i zawdy potem językiem poczujecie, że ona tam jest w każdej choćby najmniejszej kropelce. Tak samo się dzieje i z tem, co z palącej się jakiej rośliny idzie z dymem w powietrze; więc to nie ginie, jeno rozpływa się...

— Jużcić tak być musi, skoro tak mówicie — przerwał Bąbała — ale równie nie może mi się pomieścić w głowie, jakim sposobem to rozpływa się w powietrzu, kiedy tego ani oczami, ani smakiem nie poczuje, chociaż tyle dzień w dzień ludzie drzewa i różnych rzeczy spalą?

— A jak się sól rozpuści w wodzie, czy ją widzicie? — zapytał Janek.

— Ba! jużcić nie widzę; woda na oko zawdy jedna pozostaje, ale w smaku pomiarkuję, czy osolona, czy bez soli. Wreszcie mój Janie, co woda, to nie powietrze; bo wodę jużcić widzę, że jest, naleję ją do garnka, a powietrze to jest nic, to jakże ma się w niem co rozpuścić?

— Źle mówicie mój sąsiedzie — odezwał się na to Goździak — że powietrze jest niczem, bo właśnie jest tak jak woda jeno delikatniejsze i lżejsze od niej. Bo weźcie na ten przykład butelkę i prędko zanurzajcie ją w wodzie, to widzicie, że woda jeno bulbocze, co tak wlatuje do niej, a na wierzch wody wydobywają się bańki. Bańki te, to widzicie powietrze, co go woda wypycha z butelki: więc to pokazuje, że powietrze nie jest niczem, jeno właśnie jest czemsić takiem jak woda albo co innego; bo żeby w butelce nie było powietrza, toby się woda do niej wlała beż żadnego bulbotania. Że zaś z butelki ucieka jak woda wpada i w wodzie idzie pod górę, aż do samego wierzchu, to dla tego moi sąsiedzi, że powietrze jest lżejsze od wody; ot jak na ten przykład jaka tłustość, co choć ją wlejesz do wody, i pomięszasz choćby nie wiem jak, a zawdy

potem cała pójdzie do góry i uszykuje się na wierzchu wody.

— A juźcić prawda, juźcić prawda — potwierdzili wszyscy ale ktoby tam mógł pomiarkować, żeby powietrze było tak na świecie, jak nieprzymierzając woda, zboże, kamień...

— Tak samo moi sąsiedzi — przerwał Janek — tak samo, tylko z tą różnicą, że jest bardzo delikatne, przeźroczyste, lekkie i bezfarbne, więc w oczy nam tak nie wpada, jak kamień, drzewo, albo woda. Że jednak jest, to się możecie przekonać każdej chwili. I tak: zatrzymajcie w sobie dech, to się zaraz zaczniecie dusić, czyli jak głodny, łaknąć odetchnienia. Żeby więc powietrze było niczem, toby człowiek nie potrzebował oddychać, a że oddycha i widocznie coś wciąga w siebie, więc musi być czemsić. Zacznijcie znowu rękoma albo płachtą machać, to prawda, co się to wiatru narobi? Otóż widzicie wtedy z powietrzem dzieje się jak z wodą, którąbyście skotłosili w jakiem naczyniu; więc powietrze nie może być niczem, skoro raz jest spokojne, to znowu porusza się zwolna, albo znowu świszczy, zdziera strzechy, przewraca domy, wyrywa drzewa, kiedy ludzie mówią, że wielka burza na świecie. Z tego więc wszystkiego możecie się moi ludzie przekonać, że powietrze jest to taka rzecz jak każda inna, i że z każdej rośliny, lub innej jakiej spalonej rzeczy w popiele zostaje się na sto funtów czasem ino 2 do 3 funtów popiołu, a najwięcej 10 funtów, a reszta wszystko idzie z dymem w powietrze. Owóż to tym powietrzem żywią się rośliny, i do wdychania mają liście, a w liściach takie maleńkie dziureczki, co i zobaczyć trudno, chyba przez bardzo dobre okulary. A toć tak dla rośliny trzeba tego powietrza, tak jak równie i dla każdego człeka, bo i roślina przecie rośnie, rozwija kwiatek i rodzi owoce, zgoła żyje, jeno tyle co się ruszać nie może bo ma korzeń; a tym to korzeniem bierze pożywienie z ziemi, co jest rozpuszczone we wodzie, i idzie rurkami, het po całej łodydze. Więc też można by przyrównać że roślina ma liście tak jak my nos i gębę do oddychania powietrzem, a zaś korzenie i łodygę tak jak my gardło do połykania.

A teraz wybaczcie mojej szczerości — dodał Goździak—że wam powiem, iż jakem wracał z kościoła, to ekonom trzymał

płachtę z chwastem, a w niej pół na pół było zielonego jęczmienia, co go jakaś kobieta narwała, i jak zobaczyła ekonoma, tak płachtę porzuciła, a sama uciekła.

— A która to taka? — zapytano dokoła, bo nie nasza, bo my wiemy, że co szkoda to grzech.

— Ja wiem moi sąsiedzi — odrzekł Janek — że to nie z waszych domów taka szkodnica wychodzi, bo wy macie sumienie i religią, i wiecie, że krzywda zawdy jest krzywdą, czy chłopu czy dworowi, i zawdy ją Pan Bóg skarze. Ale równie miejcie na oku innych, przestrzegajcie ich, żeby dwór widział w nas życzliwych dla siebie, żeby nas przez to kochał. Oj! bo bez dworu, co w nim przestrzegają życzliwości i poczciwości dla ludowiny, toby strasznie dla chłopa było nijak, bo gdzieby się obrócił chłop wtedy, żeby mu poradzono, poratowano?

— Oj! prawda, oj prawda — potwierdzili inni gospodarze a Guz dodał:

— Mój Janie, nie wiecie czy bestyję złapali? Bo żeby wiedzieć która to taka, to jej dwadzieścia dać batów, a swoją znowu drogą gospodarzowi trzydzieści. Przez jednę bowiem niepoczciwą, to my wszyscy chodzimy w posądzeniu, i już dobrego oka dla siebie nie mamy. Cóż to, czy my nie gospodarze, czy my nie wiemy, że to grzech nawet ręką robić szkodę?

— Prawda, prawda — potwierdzili wszyscy i dodali — oj! żeby tę bestyję złapać, tobyśmy się z nią dopiero ucieszyli.

Bąbała tylko jeden, na te rozprawy mało dawał znaczenia. Idąc za drugimi wolną drogą, to machał ręką, to znowu zatykał nos i usta, i potem rozczerwieniony chwytał ustami powietrze, albo wreszcie wciągał w siebie i potem smakował, jakby coś miał w ustach.

— Cóż sąsiedzie Bąbało — zapytał Gajda przysuwając się do niego i przypatrzywszy się dobrze różnym jego sztuczkom — probójecie, czy Jan wszystko nam mówił z prawdziwością?

— A jużcić mój Wojciechu — odrzekł Bąbała — ani słowa; z machania robi się wiatr; jak przyduszę gardziela, to zdaje się, co mnie krew zaleje; ale co do smaku, smakuję w

powietrzu i smakuję, i zawdy jedno i jużcić. To jeno to jedno, co Janek jakoś dobrze nie zgadł.

— Cóż wybyście chcieli, żeby było w powietrzu? Żeby powietrze było tak, jak barszcz ze szperką, albo ziemniaki?

— Ej! nie! równie przecie, żeby jaki taki smak miało — odrzekł Bąbała, a Gajda uśmiechnął się i szepnął półgłosem:

— Oj! głupich się wam rzeczy widzę nie chce; ale wielka to łaska Pana Boga, że powietrze nie ma żadnego smaku, bo w łykaniu wybyście nie przestawali, i póty byście łykali, że z pewnikiem namby zabrakło powietrza.

Wszyscy się na te słowa uśmiechnęli, nawet i Bąbała bez gniewu pogroził palcem, przykulił ramion, i każdy udał się do swej chałupy.

Czyt. N.

PIĘKNE PRZYKŁADY.

Kmieć Golik.

Dużo było biedy i narzekania, skoro nam Moskale rozbili naszą Polskę, i sami się w niej rozgościli. Niejeden tam bronił z całej siły, jak tylko potrafił, aleć wszystko to już było za późno i na nic się nie przydało. Kto się tylko opierał, a nie chciał uznać Moskali za panów, tak też go zaraz albo zabijali, albo wysełali na Sybir, gdzie wieczny śnieg, wieczny mróz, głód i straszna nędza.

Był też we wsi *Górze* za Wisłą niejaki pan Ignacy Dembiński, a ten siadywał we warszawskim sejmie, i razem z innymi rajcami Moskalom się sprzeciwiał, a obstawał za wolnością dla wszystkich. Więc też skoro Moskale bardzo nas przysiedli, a już sobie na piękne w naszej Polsce rządzić zaczęli, tak wysłali kozaków do Góry, a kazali złapać pana Dembińskiego, i pognać go prosto na Sybir. Aleć dowiedział się o tem zawczasu pan Dembiński, zabrał żonę i dzieci i co mógł na prędce; resztę zostawił na łaskę bożą, a sam przeprawił się przez Wisłę i

stanął w Galicji, bo tu już Moskalom nie wolno było chodzić.

Sądny to dzień był skoro kozacy napadli na Górę. Sadzą prosto do dworu, a tu pustki we dworze. Wtedy wściekłość ich porwała, że im umknął pan Dembiński, podłożyli ogień, i puścili z dymem wszystkie budynki dworskie, a nawet cębrzynę w studni co była w dziedzińcu od dołu spalili i potem ziemią zasypali. Po takiem więc spustoszeniu obrócili się i poskoczyli czemprędzej do plebanji. Żal ściska człowieka za serce powtórzyć te straszne rzeczy. Kozacy wyciągnęli księdza proboszcza Borzęckiego i zbili go nahajkami, nie dbając na jego stan duchowny, a wreszcie zrabowali i spalili kościoł. Aleć nie dosyć im było tego, taka ich wściekłość opanowała, że im się wymknął pan Dembiński. Popełniwszy już tyle bezprawia i świętokradzkich zbrodni, dopuścili się jeszcze najgorszej, bo chcieli jak szatani kusiciele uwieść i do złego namówić całą gromadę.

Owóż przywódzca kozaków, zwołał wszystkich gospodarzy Góry, i w te się do nich odezwie słowa:

— Wasz pan jest buntownik i rebelant; sprzeciwiał się nam prawornym Moskalom, dlatego chcieliśmy go złapać i zawieźć na Sybir, ale szelma wymknął się z rąk naszych. No, i tak nie ujdzie on swojej kary, ale dla was chamy wielkie się tu patrzy szczęście. Pozwalam wam, ażebyście się podzielili gruntami pańskiemi i pasieką! Rozumiesz jeden z drugim? — dodał kozak i wywinął nahajką.

Gromada pochyliła głowy od samego strachu, a przywódca obrócił konia i poleciał z kozakami jak na złamanie karku.

Skoro już kozaków nie było widać, jęli się ludzie oglądać, a tu pola żółcą się ślicznym żytkiem, i przeniczka zarasta gęsto żeby się i wąż nie prześliznął, a w pasiece uli że ledwo zliczyć można. Więc niejednemu zaiskrzyły się oczy, a ktoś z gromady odezwie się:

— Dobrze mówił kozak, nie zawadzi podzielić się gruntami.

— O, ta przecie marnie tego nie zostawimy — ozwie się drugi — a toć panu i tak nic z tego kiedy go tu nie ma.

Wystąpił na takie gadanie, Golik, kmieć zamożny, spojrzał i zarumienił się od gniewu, a potem tak rzecze do gromady:

— Nie macie chyba Boga w sercu moi kumowie i sąsiedzi, a sam czart wam kładzie do ust takie słowa, z jakiemiście się właśnie odezwali. A toć kiedy pana nie ma między nami to wam się zdaje, że możecie na gadanie lada kozaka heretyka, podzielić się dobytkiem pańskiem, tak jak owi zbójcy pod krzyżem płaszczem Chrystusa pana? O moi sąsiedzi, lepsze ja miał rozumienie o was! Nie wiedziałem że tak mało miłości bliźniego jest w waszych piersiach. Wam się zdaje, że kiedy pan odjechał to mu już nic nie brakuje? A on tam może nie ma co jeść dać swoim dzieciom, a musiał odbiegnąć zboża na pniu i miodu w ulach przed moskiewską nienawiścią, jeno dlatego że obstawał za nami a sprzeciwia się, coby nas Moskale nie ciemiężyli! Oj, ludzie, ludzie, sama myśl o takiej zbrodni to już jest grzechem u Boga.

Szmer się rozeszedł po gromadzie, a niejeden ocierał oczy końcem sukmany, i już po tej przemowie nie było ani jednego, coby chciał dzielić się dobrem pańskiem. I owszem, na przedstawienie Golika wzięli się wszyscy do zebrania pańskiego ziarna, a sumiennie i uczciwie przechowali go między sobą, dopóki pan z Galicji się nie upomniał o ten swój dobytek.

Z wdzięczności zaś dla samego Golika, co potrafił odwieść ludzi od złego, darował mu pan Dembiński spory łan gruntu na wieczne czasy, a choć to temu z górą lat sześćdziesiąt i ośm, to Golikowie zawsze ten grunt we wsi Górze posiadają, i są zamożni i uczciwi.

Syn tego pana Dembińskiego był potem wielkim jenerałem, i nieraz bił się z Moskalami i przelewał krew swoją za naszą ziemię. To też każdy Polak pamięta sobie na jenerała Henryka Dembińskiego, co żyje teraz w cudzym kraju; a choć i on się już dobrze postarzał, to przecie nie zapomniał na poczciwą rodzinę Golików, i na onego ich przodka, co ojca jego dobytek przed chciwością ludzką uratował.

Grześ z Mogiły.

RÓŻNOŚCI.

Królewski trefniś. Jak *Stańczyk* na dworze króla *Zygmunta*, tak też i przy królu Janie Sobieskim był dowcipniś czyli *trefniś*, co rozweselał wszystkich swojemi dowcipami, a zwał się *Winnicki.*

Trafiło się raz, że szedł do króla jakiś nieznany na dworze pan, bogato i suto ubrany. A że to był pan wielki i nie lada komu z drogi ustępował, więc głowę zadarł do góry i tak szedł w królewskie komnaty.

W samych drzwiach potrącił o natręta Winnickiego, więc przystanie i spojrzy nań groźnie.

— Kto waść jesteś pyta urażony.

— Krawiec nadworny — odrzeknie trefniś.

— Więc szyjesz szaty królowi Jegomości?

— Nie — prawi Winnicki — ja umię tylko przypiąć łatkę jak komu potrzeba.

— Ty jak widzę żartujesz? zawoła pan rozgniewany.

— Nie — prawi Winnicki — jestem krawcem, a umię także i kurtę skroić, jak komu potrzeba.

— Ty sobie za dużo pozwalasz! — zawołał pan zaczerwieniony od złości.

— Nie, bo mnie i królowi to wszystko, wolno! Jestem Winnicki, trefniś króla Jegomości.

Po tych słowach zadarł głowę do góry nadworny błazen, obrócił się poważnie i wyszedł z komnaty.

Kto nie ma chęci, ten wie jak wykręci. — Mój kumie, pożyczcie mi też dwa cwancygiery, bo mi potrzebne na wykupienie płótna od tkacza.

— Dajcie mi pokój, a zkąd się u mnie spodziewacie pieniędzy?

— Mój kumeczku złoty, oddam wam jak tylko odbiorę kwartalne zasługi, mój kumeczku.

— Kiedy nie mam powiadam wam.

— Ale macie, macie, boście wczoraj przedali wieprzka na jarmarku.

— Choć mam to nie pożyczę.

— A i dlaczegoż tacyście zawzięci i nieużyci?

— Bo was kocham mój kumie.

— I z kochania nie chcecie mnie poratować?

— Z kochania; bo przecie powiadają: *chcesz przyjaciela stracić pieniędzy mu pożycz.*

— Tak, ale ludzie także mówią, że *kto chce psa uderzyć to kija znajdzie.* Wy chcieliście się od pożyczki wykręcić, a i wykręciliście się gadką ludzką.

Jakto bywa gdzie indziej. Z za morza z *Anglii* piszą, że tam wieśniacy, rzemieślnicy i wszelkiego rodzaju wyrobnicy, każde Święto po nabożeństwie zwykle przepędzają na czytaniu różnych pism jak *Dzwonek* i innych pożytecznych książek. Z dzieci zaś ich, każde chodzi do szkółki, i różnych nauk nabywa, a przytem w domu rodzicom pomaga w pracy. Skutkiem tego ludzie tam coraz stają się lepsi

i moralniejsi, czego najlepszym dowodem jest to, że z każdym rokiem spraw różnych kryminalnych, jak: o złodziejstwo, rabunek, oszustwo, i innych podobnych niegodziwości, co raz mniej bywa tak dalece, że spodziewają się, iż po pewnym czasie sądy kryminalne i więzienia zostaną zniesione, bo nie będzie ich dla kogo utrzymywać, tembardziej, że już dziś urzędnicy sądowi nie wiele mają co robić, a więzienia i w połowie nie są więźniami zajęte.

U nas inaczej, więzień nie kasuje się, ale liczbę ich prawie powiększać trzeba, a pójść do tych co są, to więźniowie roją się jak pszczoły w ulu. Czytajcie więc i uczcie się, nauczajcie dziatki wasze, a i wy doczekacie się z nich pociechy, ludzie wygody, a Bóg im i wam błogosławić będzie.

Zdania.

Dla tego żyją drudzy, kto dla drugich żyje,
Bo jak mówi przysłowie: ręka rękę myje.

Dziś tak, jutro inaczej; dlatego rozumny
W nieszczęściu nie rozpacza, w szczęściu nie jest dumny.

Dziś pracuj, dziś czyń dobrze; jutro dzień niepewny,
Nie zbierze plonu z roli, kto siał w czas niesiewny.

Czyń dobrym i złym dobrze; mając to na względzie,
Że ci pierwszych *przybędzie* a drugich *ubędzie.*

Praca skarb najpewniejszy; o nim miej staranie,
A będziesz miał chleb w życiu, i jeszcze zostanie.

Nie sądźcie o człowieku z pozornej postawy:
Często karzeł z postaci, olbrzymem ze sławy.

Bóg zawsze cię pocieszy, albo serca doda;
Do niego wznoś więc serce, gdy przyjdzie przygoda.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.